



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

„DWORZANIN”

przez

Floryjana Łagowskiego.

Ze wszystkich pisarzy XVI w. najwięcej, po Kochanowskim, względów u badaczy i historyków literatury naszej znalazł Łukasz Górnicki. Już w XVIII w. wydawano przedruki jego dzieł; w XIX przypomniał go najpierwszy Dantyszek (Ad. Kazimierz Czartoryski) w *Myslach*, Hoffmannowa w *Rozrywkach dla dzieci* podała streszczenia całych ustępów *Dworzanina*. W pierwszych latach swego istnienia *Biblioteka Warszawska*, czasopismo wielce zasłużone dla historii literatury polskiej i nieustające w raz obranym kierunku, zamieściło pracę Trębickiego z nowymi zupełnie faktami z życia, uzupełnionemi później przez Al. Przędzickiego i w naszych już czasach przez Zygmunta Głogiera i Alexandra Weinerta. W latach 1869 i 1871 wydrukował p. Stanisław Tarnowski swoje studia nad Górnickim; współcześnie przybyło nieco świadectw w wydawnictwach zbiorowych, najnowsze w *Ateneum* w r. 1886. Na pewnej już podstawie skreślił w r. 1881 p. Czarnek życiorys pisarza - obywatela, a w trzy lata później to samo zadanie spełnił p. Rafał Loewenfeld, w pracy swej, niemiecku wydanej: *Lukasz Górnicki, sein Leben und seine Werke* (Wrocław 1884). Jest to najlepsza ze wszystkich dotychczasowych biografii ¹⁾.

Dlaczego zajmowano się Górnickim więcej, niż innymi pisarzami Złotego Wieku, z wyjątkiem jednego tylko Jana z Czarnolasu? Powód leży chyba w tem, że, jak Kochanowski pięknością mowy poetyckiej, tak Górnicki znowu pięknością swej prozy przewyższa innych współczesnych; a jak pierwszy i dla dzisiejszego wielbiciela poezji nie stracił powabu, tak i drugi, zarówno przez formę wykwintną, jak i przez treść swych dzieł, dzisiaj jeszcze budzi zajęcie; *Dworzanin* prócz tego, że daje nam poniekąd obraz ówczesnego życia towarzyskiego, a więc maluje przedmiot nader zaciekawiający, nadto jeszcze przez prawdziwe klasyczne pojmowanie tej strony życia, przedstawia nam wiele przykładów dzisiaj jeszcze godnych naśladowania. *Rozmowa* i *Droga*, zaciekawiają umysły pragnące poznać przeszłość narodu swoją krytyką instytucji społecznych; *Dzieje*, jakkolwiek bezwzględnie w historyografii naszej, nie zajmują wysokiego stanowiska, obejmują jednak sporo zajmujących, ważnych, a z najbliższego źródła płynących wiadomości o wypadkach współczesnych autorowi.

Wszystkie te okoliczności tłómaczą dostatecznie powody zajęcia się uczonych naszych Górnickim; niechże one także usprawiedliwią i nas, że ósmielamy się zajmować czytelników tym wykwintnym pisarzem, typowym przedstawicielem humanizmu naszego w XVI stuleciu.

Kto chciał chociażby z samego *Dworzanina* zaczerpnąć świadectwo o stopniu jego oryginalności, ten dobrze wiedział, że traktat ten nie jest utworem oryginalnym pisarza polskiego, ale przeobrażeniem włoskiego dzieła hr. Castiglione'go, i to z niezbyt wielkimi, pod względem ilościowym, zmianami. Pomimo jednak tak oczywistego świadectwa długi czas panował zamęt w podręcznej historii literatury, a nawet zdarzało się, że nieoryginalność wytykano Górnickiemu, jakoby nowe niby odkrycie. Pomiędzy poważnymi historykami i krytykami literackimi panowała nie-

zgoda dotycząca już samej treści dzieła i stosunku jego do życia, a raczej do tego zakresu życia, na którą myśl pisarza przy wytworzeniu *Dworzanina* się zwracała. Jedni, jak np. p. Tarnowski, uważają tę książkę jako malującą życie towarzyskie Polaków w XVI stuleciu; drudzy, np. p. Loewenfeld, jako odzwierciedlającą jedynie tylko życie dworu królewskiego. Aby te wątpliwości rozwiązać, zechcemy zastanowić się nad temi czem właściwie jest ten *Dworzanin*?

We włoskim oryginale *Il cortegiano* przedstawia nam ideał człowieka „dobrze wychowanego”, powiedzmy do tego: człowieka przebywającego w najłepszym, najwyższym towarzystwie, bo na dworze ówczesnych książąt włoskich, jaśniejących bogactwem, wykwintem i doborem ludzi najwyższymi kształceniem, najwyższymi urodzeniem, wziętością lub sławą, w sferze politycznej, rycerskiej, naukowej, artystycznej i t. p. U nas nie było takich dworów książęcych, ale były domy magnackie, tak świeckie, jak duchownych panów, a w tych domach również przebywali ludzie odznaczający się wyższymi przymiotami lub stanowiskiem społecznym. Do takich domów oddawano młodzież szlachecką na „służbę”, a raczej na praktykę, tak w życiu towarzyskim, jak w publicznym. Taki pan, nie tylko załatwiał tysiące interesów natury czysto-ekonomicznej, ale piastował jeszcze zwykłe i ważne urzędy publiczne. Ztąd potrzebował licznych pomocników i nigdzie (chyba na dworze królewskim) lepiej, wszechstronniej nabrać praktyki życia nie było podobna. W układzie zatem życia włoskiego i polskiego ze względu na stosunek młodzi szlacheckiej do dworów i życia dworskiego, w owych czasach panowało podobieństwo. Jeżeli też ważną była we Włoszech kwestya: jak się ma zachowywać człowiek przebywający na dworze (dworzanin), aby sobie mógł pozyskać ogólną sympatyę, aby mógł być takim, izby mu nie było co zarzucić?—to ważną była również i w Polsce. Hr. Castiglione napisał o tem jeszcze

¹⁾ Szkoda, że polskiego przekładu tego dzieła dokonano z wielką lekkomyślnością. (Warszawa, 1884). (P. Red.)

w r. 1528 książkę i odmalował w niej taki ideał dworzanina; nasz Górnicki w 30 lat później²⁾ postanowił wziąć z tej książki to, co za właściwe uznał dla polskiego społeczeństwa, opuścił zaś lub zmienił to, co mu się przedstawiało jako nieodwiednie.

Czy jednakże ztąd ma wynikać, że ideał nakreślony przez Castiglione'go jest typem ówczesnych Włochów, lub nakreślony przez Górnickiego—typem Polaków? Zdaje się, że chyba nie. Tak jeden, jak drugi mieli na myśli tylko ideał, do którego pragnęli podnieść swoich czytelników. Główną np. zmianą u dworzanina ma być wdzięk, takt, dowcip. Czy istotnie większość Włochów temi przymiotami, stanowiącemi przeważnie dary natury, za czasów Castiglione'go jaśnieć miała? Albo—czyż koniecznie miało tych przymiotów braknąć w Polsce za czasów Górnickiego?

Nasuwa się teraz pytanie inne: Czy ten ideał był stosownym dla Polaków tak, jak istotnie był stosownym dla Włochów? Zdaje nam się, że był. Górnicki popuszczał te miejsca w oryginale, które były dla Polaków niezrozumiałe lub dla ich niezapewniającej natury zbyt cynicznymi. To, co pozostawił, w wielu swoich rysach istniało w pojęciach i życiu Polaków—raz dla tego, że szczegółowo rysy owego ideału wzięte są z obserwacji nad ogólną naturą ludzką, powtórę — że wystąpiły w ciągu studyów nad literaturą i sztuką starożytną, nieobcą wielu Polakom; potrzebie—że natura polska ma wiele z tych znamion, z których ów ideał dworzanina się składa, Polacy bowiem zawsze odznacali się wrodzonym wdziękiem, dowcipem, w ogóle — zaletami towarzyskimi.

To też sądzę, że poznano się odrazu na wartości wewnętrznej *Dworzanina*. Czytywano go z przyjemnością, powtarzano jego poglądy, starano się dościsnąć go w życiu. Ale przytem nie wszystko, co się znajduje w *Dworzaniu* Górnickiego (np. dwie ostatnie księgi), było równie rozumiane i powtarzane; wiele przecież zdań pomieszczonech w pierwszej połowie znajdowało wielkie rozpowszechnienie. Rozmowy w towarzystwach na temat *Dworzanina* odczytywanie całych z niego ustępów sprawiły, że teorie w nim zebrane dojrzały w świadomości naszych przodków, uszlachetniając życie według podanego wzoru. Ztąd też *Dworzanin* oddziaływał na życie i w krótkim czasie stał się *poniekąd* jego odbiciem, obrazem.

Ostatecznie mniemam, że p. Loewenfeld zbyt pesymistycznie na rozpowszechnienie tej książki się zapatruje, twierdząc, że ona tylko w obrębie dworu królewskiego była czytana. Sądzę, że czytano ją i na dworach wielkich panów i wszędzie w kołach wykształconych, a zdania z niej w rozmowach przenikały i do tych wszystkich, z którymi wykształceńsi ludzie mieli stosunki.

Dworzanin musiał oddziaływać na dość szerokie koła i tym sposobem wytwarzał pojęcia, a ztąd obyczaje i zwyczaje, takie, o jakich mówił. Stał się on zatem *poniekąd* obrazem życia polskiego—lubo w kołach tylko inteligentnych, w towarzystwach wyższych. Z tego wszystkiego wynika, że zarówno prof. Tarnowski³⁾, jak i inni nasi krytycy mają prawo uważać tę książkę za obraz życia naszych przodków, ale z zastrzeżeniami, że maluje on *poniekąd* życie *wyższych* towarzystw XVI stulecia.

Dworzanin ma dla nas pod względem treści dwojaką wartość niezawodnie: jako pomnik malujący nam życie naszej intelligencji w XVI wieku, oraz jako książka, która i dzisiaj zawiera tyle trafnych spostrzeżeń, tyle pięknych myśli, że ją śmiało do klejnotów naszej literatury zaliczyć

2) *Dworzanin polski* ukazał się poraz pierwszy u Wirzbiety w Krakowie 1566 r. Szacowne dziś wydanie; druk piękny. Pierwsza zbiorowa ogólna edycja *Wszystkich dzieł E. Górnickiego* wyszła dopiero w r. 1886 w Warszawie, w 3 tomach, w *Bibl. najc. utw. lit. eur.* Manuskrypt do druku przygotował i objaśnieniami opatrzył p. Rafał Loewenfeld; dodał otoczenie i wstęp i słowniczek archaizmów, oraz wyrażenia charakterystyczne Górnickiego, redaktor *Biblioteki*, Dr. Piotr Chmielowski. (P. Red.)

3) Studium nad *Dworzaniem* ogłoszone poraz pierwszy w r. 1871 przedrukował w r. 1880 *Wiek warszawski*. (P. Autora).

możemy. A przyznamy jej ten epitet tem chętniej, im dokładniej przyjrzymy się jej wykwintnej formie.

Jakaż jest treść *Dworzanina*? Czegóż domagało się wówczas od człowieka dobrze wychowanego, *salonowego*, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli? Otóż domagano się, aby dworzanin był szlachcicem, rycerzem, i to wyćwiczonym w robieniu wszelką bronią i umiejącym zręcznie koniem powodować; aby był w boju dzielny, a w domu skromnym, łagodnym; aby był pięknym tą pięknoscią mężką, coby dąb przypominała; aby był nade wszystko „zgrabny, tak, żeby mu wszystko składnie, jakoby samo z siebie bez wysilenia szło i żeby mu wszystko przystało i było do twarzy.“ A oto i rady: jak dojść do tej zgrabności: „Najpierw tedy trzeba się tych wszystkich ćwiczeń wczas uczyć i nie u łada kogo, ale u dobrych mistrzów; powtórę starać się przyswoić sobie zręczne sposoby robienia drugich, a nade wszystko — wielkie słowo — robić wszystko *poprostu, naturalnie, bez przesady, jakby od niechcenia*.“ Wynsuwa się też ztąd rozprawa o pięknej mowie i pisaniu, a kończy się tem, że tu przesada, pretensjonalność jest, jak we wszystkim, bardzo szkodliwa.

Dworzanin następnie ma być wykształconym: winien znać nie tylko języki łaciński i grecki, ale niemiecki, włoski, francuski i hiszpański; niech zna literaturę, historię, filozofię. Ma też posiadać jedną ze sztuk pięknych, a ponieważ Polacy nie mają do wielu z nich zdolności, to przynajmniej—muzykę.

To powiedziawszy, autor szczegółowo daje rady, jak tego wszystkiego, gdzie i kiedy ma używać człowiek dobrze wychowany. Idzie tu więc o ten najważniejszy przymiot w życiu towarzyskim — „takt“. Ale cóż?—kiedy na to niema przepisów, ten takt daje przeważnie *natura*. „Są natury (słowa prof. Tarnowskiego) grube i gburowate, pozbawione tej wrodzonej delikatności, którym i najstaranniejsze wychowanie nie pomoże; których żart zawsze będzie ciężki albo bolesny, sposób mówienia hardy lub zbyt poufale, śmiech gruby, poruszenie gniewu lub niecierpliwość nieumiarkowana, uwagi, choć trafne, ale powiedziane nie w porę i przykro i t. d. Zaś tak jest niezliczone mnóstwo przypadków, w których człowiek źle i bez taktu postąpić może, iż każdy przewidywać, na każdy podać regułę jest niepodobieństwo, i człowiek tu już sam swoim instynktem rządzić się musi.“ Mimo takiego słusznego zastrzeżenia, występuje w dziele cały szereg rad szczegółowych, z których wiele każdemu i zawsze przydać się może.

Nie obojętną rzeczą dla dworzanina jest ubiór: nie ma on być ani zbyt modnym, ale i nie przestarzałym, bo narażałoby to na śmieszność.

A z żartem, dowcipem trzeba też bardzo ostrożnie poczynać: nie należy się przedewszystkiem nań sadzić, a nie żartować, ani z nieszczęśliwych fizycznie i moralnie, bo oni tylko na współczucie zasługują, ani też z osób powszechnie szanowanych, bo to oburza. Górnicki wiele tu przytacza dosadnych przykładów.

(Dokończenie nastąpi)

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SE WERA

(Dalszy ciąg).

— Robisz pan wszelkie możliwe wysilenia, aby mnie koniecznie wydać za mąż. Nie udało się ze Stańczykiem, chcesz pan sprowadzić radykała deklamującego na pamięć całe ustępy z Zoli.

— I to panią gniewa? — zapytał, wpatrując się w twarz dziewczęcia.

— To, co pan robisz, nie może gniewać, lecz dziwi pośpiech w wyszukiwaniu mi męża. Otóż dowódź panu, że gdy tego będzie potrzeba, dam sobie sama radę. A teraz musisz mi pan przyrzec, że nigdy w życiu nie będziesz się zajmował sprawą swatania mnie — nigdy, nigdy! — Przysięgnij pan.

— Przysięgam — rzekł rozrzuwiony Tadeusz, nie wiedząc dlaczego. — Niezręczność moja...

— Ależ nie ma mowy o niezręczności. Przeciwnie, można panu zarzucić zawiele zręczności. Byłeś pan wielkim dyplomata i nic więcej—to za mało. Na zakończenie jeszcze jedna prośba. Nie mówmy o tym przedmiocie—nigdy, nigdy! — Przysięgnij pan.

— Przysięgam — powtórzył weselej.

— A teraz, jak dawniej, jak zawsze, jesteś pan moim serdecznym przyjacielem, w danym razie opiekunem, doradcą, wszystkim, byle nie swatem. Przekonasz się pan, że nie rozpaczam nad odkosztem Stańczyka. Nie była to dla mnie, jak pan wiesz, niespodzianka. Radykał również pewno mnie nie zechce. I nie wiem, czy mam rozpaczać, czy dziękować Bogu.

— Najlepiej....

— Przysięga — przerwała — ani słowa, ani jednego wyrazu. Mnie tylko wolno mówić w tym przedmiocie długo, obszernie i często; panu wolno słuchać i...

— I milczeć.

— Tak, milczeć. Otóż, jak ja-bym pysznie wyglądała jako pani radykałowa, sadzając za swym stołem żydów, młynarzy, maszynistów i wysłuchując rzucanych przekleństw na biedną szlachtę, na mego ojca, matkę, stryjów i na siebie samą! Nie wolnoby mi było ani jednego słowa wypowiedzieć we własnej i swej rodziny obronie.

— Pani się mylisz—przerwał żywo Tadeusz. — Żadna przysięga nie zmusi mnie do milczenia w obronie przyjaciela. W Radwanie poznałabyś pani młodego, dobrze wychowanego, i wykształconego człowieka, z zasadami, które wyznaje ty — się na Zachodzie ludzi.

— Ponieważ ja ich nie wyznaję, wzrosłam w innym otoczeniu i pojęciach, jestem z innego świata...

— Żona idzie i powinna iść za mężem.

— Właśnie tego się obawiam, gdyż pójść-bym nie mogła. A teraz ja panu składam przysięgę, że również nigdy z nim nie będę mówiła o nikim z młodzieży, jako o konkurencji.

— Dopiero o narzeczonym?

— Dopiero — poświadczyła z figlarnym uśmiechem. — a wtedy już szeroko i długo. Teraz siadaj pan! Oto filiżanka herbaty; powinna pana pokrzepić. Jesteś zmęczony, nie spałeś całą noc, wracasz z Grabin, wszystko dla mnie, dla mego szczęścia, dla mej przyszłości.

Tadeusz podniósł wzrok na dziewczynę. Unieknęła go, zwracając się w stronę samowaru. Była dziś niezwykle ożywiona i serdeczna.

W dniu wyboru delegata do rady nadzorczej, miasteczko zaroilo się wyborcami. Trzy główne kwatery zajęli naczelnicy trzech stronnictw: pa radzie powiatowej marszałek, w domu starosty pan Jan, w hotelu Radwan. Agitatorzy snuli się po mieście, liczyli przybyłych, przebiegając z głównych kwater na plac boju. Gryzio pracował, obcierając chustką pot z czoła.

Adam przedstawił ojcu Radwana i nie śmiąc się pokazywać ludziom, a przedewszystkiem wstydząc się Tadeusza i marszałka, wrócił do domu.

Dwóch ludzi, przewodców krańcowych obozów, podało sobie ręce i pierwszy raz spojrzalo sobie w oczy. Pan Jan starał się być uprzedzającym grzecznym, lecz zarazem butnym i wyniosłym, Radwan zimnym i spokojnym.

— A więc idziemy razem do szturm? — odezwał się pierwszy.

— Aby po zwycięstwie stanąć przeciwko sobie — odpowiedział Karol, chcąc odrazu kwestyą jasno postawić.

— To już należy do jutra — odparł pan Jan — musimy zwyciężyć.

— Dotrzymuję przyrzeczenia: piętnaście głosów dostawiłem.

— Ja swoich dwadzieścia. Wiem na pewno, że stronie przeciwnej zbraknie dwóch głosów. Nie stawia się—i to moje dzieło.

— Podobno przybyło im paru nowych wyborców — rzekł Karol.

— Zobaczymy. Nie obawiasz się pan przegranej?

— Najzupełniej.

— Jeżeli upadniesz, to tak małą przewagą.

— Chociażby i wielką. Lepiej jednak wygrać.

— Jestem tego pewny. Nasze obozy widocznie są karne, gdy ich polegają na wzajemnej admiracji i sąsiedzkiej miłości...

— Obliczono przybyłych? — spytał Karol.

— Posłałem swego człowieka. Ma mi przynieść listę wszystkich wyborców.

— Oto moi — oddał panu Janowi karteczkę z piętnastu nazwiskami. Pan Jan przeglądając uśmiechnął się.

— Nie są to wprawdzie historyczne nazwiska — mówił dalej Karol — lecz tak samo dobre i ważne głosy, jak każde inne. Nie jest naszym zadaniem przedłużać historią, lecz zacząć ją robić na nowo.

— Prawda, głosy ważne — pochwylił pan Jan. Któż pana postawi na kandydata?

— Ktokolwiek.

— Może byłoby dobrze, aby ktoś z pańskiej partyi.

— Zgoda, gdyż nie chciałbym być kandydatem specjalnie Stańczyków.

— Chciałbyś pan tylko mieć ich głosy.

— Niezawodnie.

— I będziesz je miał.

— A zatem do widzenia na sali — rzekł Karol, gotów do wyjścia.

— Ugrupujmy się na dwóch skrzydłach sali, puszczając w środek marszałkowiczów.

— Dobrze, stanę ze swoimi w zwartej kolumnie.

Pan Jan odprowadził gościa do samych drzwi.

— Filipkiewicz i Godziemba zdradzili — zawołał Gryzio, wpadając zdyszany do marszałka, otoczonego przyjaciółmi, wśród których rej wodził Gałdziński.

— Nadjadą, Gryziu, nadjadą, mają jeszcze godzinę czasu — uspakajał go marszałek.

— Nie przyjadą — odparł Gryzio. — Filipkiewicz bierze w dzierzawę przyległy do swej wioski folwark od pana Jana, Godziemba ma syna, któremu pan Jan wyrabia stypendium. Przegrywamy trzema głosami. Nastąpi milczenie; Gryzio załamał rozpaczliwie ręce.

— Dlaczego Godziemba do mnie się nie udał? — odezwał się marszałek.

— Bo błazen — odparł Gałdziński. — Lecz dajmy pokój Godziembie, a radźmy, co robić.

— Jest jedna rada. Idźmy hurmem do sali i tam za pułkownikiem okrzyknijemy przez akklamację marszałka delegatem, zawyrokuje Gryzio.

Oczy podniosły się na pułkownika. Marszałek milczał, był błyśnięty i zamyślony.

— Można spróbować, lecz jeżeli strona przeciwna zna swoje siły — nie pozwoli.

— Zna — szepnął Gryzio. — O Filipkiewicz i Godziembie mówią Stańczyki. Zerwać posiedzenie! — zawołał. — Jedyna rada, zerwać posiedzenie.

— Mają większość i obejdą się bez nas — odezwał się jeden z obecnych. Gryzio znowu załamał ręce, lzy błyszczały mu w oczach. Marszałek, wzruszony, uściśkał go i pocałował w czoło.

Dwóch posłańców konnych zatrzymało się przed oknami.

— Ludzie Filipkiewicza i Godziemby. Może pełnomocnictwa. — Gryzio w dwóch susach był za drzwiami. Nadzieja wstąpiła w marszałka.

— Listy pisane przez ich żony. Pewno są obłożnie chorzy i pisać sami nie mogą. Dał ja-bym wam chorobę! — Pogroził.

— Gryzie odgadł: chorzy. — Marszałek rzucił listy na stół.

— Decydujemy! Dziesięć minut czasu — zawołał Gałdziński, patrząc na zegarek. Gromadka skupiła się.

— Proszę o głos.

Spojrzano w stronę mówiącego i rozstąpiono się. Był to mężczyzna szpakowaty, szczupły, wysoki, o inteligentnych rysach twarzy i łagodnym spojrzeniu, zwał się „Raciborski.”

— Przegraliśmy, lecz powinniśmy się cofnąć z honorem w szyku bojowym, z rozwiniętymi sztandarami.

— Słuchamy, słuchamy — przeszedł szmer po zgromadzeniu.

— Marszałek zostanie tu, ja wystąpię stanowczo przeciw kandydaturze marszałka, utrzymując, że zamała to dla niego godność. Zachowajmy go, gdy przyjdzie wybór prezesa rady nadzorczej. Wtedy pułkownik poprze mnie, oświadczając, że potrzeba młode siły wyrabiać, szukać nowych ludzi i postawi kandydaturę Radwana, popartą przez nas jednomyślnie.

— Bravo! — zawołał Gałdziński, któremu zawsze szło o popis, efekt, uznanie i zwycięstwo czymkolwiek kosztem.

— I skończy się na tem, że nie Stańczyki górą, ale my!

Marszałek uściśnął serdecznie rękę mówcy. Gryzio jeden był zrozpaczony i nie taił się z tem. Miał zamiar swoją odłużoną wioskę sprzedać, w nadziei, że gdy marszałek zostanie dyrektorem w Krakowie, weźmie od niego cały Rębów w dzierżawę.

Gałdziński na czele przyjaciół wszedł na salę. Przy oknie stała gromadka otaczająca Radwana, złożona przeważnie z młodych ludzi, ubranych oryginalnie, z zawadyackimi minami, butnych i zuchwałych. Wśród nich pięciu żydów, dwóch starszych i poważniejszych, trzech synów właścicieli wiosek, którzy pokończywszy szkoły, pomagali rodzicom, a dziś stawili się z ich pełnomocnictwami.

Stańczyki spóźnili się, nie wiadomo, czy umyślnie, czy też wypadkowo. Partya środka zaprosiła na prezydującego pułkownika. Gałdziński, jako stary żołnierz, jednym rzutem oka zrozumiał ważność chwili, chciał z niej skorzystać i obwołać marszałka delegatem. Gryzio domyślił się taktyki pułkownika — serce mu biło młotem.

— Panowie!... — Drzwi się rozwarły, pan Jan, prowadząc pod ramię starego hrabiego Połackiego, wszedł na salę, za nim reszta towarzyszy.

Pułkownik przerwał, skłonił się hrabiemu, hrabia podał mu rękę. Zaczęły się powitania i krótkie urywane rozmowy. Stary hrabia był starym magnatem, rzadkim gościem w kraju, a drugi raz, w imię solidarności, na sali wyborczej. Wszyscy schylali głowy przed wielkością rodu i majątku, oprócz garstki młodych ludzi zgromadzonych pod oknem. Pułkownik z usłużnością dworaka wskazał hrabiemu miejsce prezydującego. Hrabia nie przyjął.

— Przyzwyczajonyś, mój pułkowniku, do dowództwa, prowadź i dzisiaj. Na mnie kolej przyjdzie wypowiedzieć swoje.

Pułkownik zagaił posiedzenie i podług programu udzielił głosu Raciborskiemu. Mówca w wymownych wyrazach zaczął wielbić cnoty i przymioty marszałka. Zaledwo przestał, aby odechnąć:

— Do rzeczy, dosyć tych blag — wyleciał głos z gromadki zpod okna.

Szmer oburzenia przeszedł po sali, hrabia zaczął lornetować piętnastu nieprzejednanych.

Raciborski odpoczął i mówił dalej, kończąc niespodzianem zakłębieniem wyborców, aby nie wybierali tak znakomitego meża, jak marszałek, a pod rządne stanowisko. — Zarezerwujmy go, gdy przyjdzie czas na wybór prezesa rady nadzorczej. To dopiero odpowiednia dla niego godność...

Oklaski zpod okna zagłuszyły mówcę, a że są zaraźliwe, klaskali wszyscy. I hrabia z panem Janem zaczęli się szeptem porozumiewać. Nareszcie magnat dał znak ręką pułkownikowi, że chce mówić.

— Panowie, hrabia Połacki prosi o głos — zawołał Gałdziński, wznosząc w górę rękę. Uciszyło się, wszyscy wyteżyli słuch.

— Moi panowie — zaczął, szepleniąc lekko ze starości. — Kiedy tak zacny mąż, jak marszałek, abdykuje, wybierzmy drugiego nie mniej od niego dzielnego. Pracą i oszczędnością potroił majątek

rzadzi się wzorowo, gospodaruje dobrze, ma głowę, rozumie się na interessach i zna prawo. Czyż znajdziecie lepszego?

W gromadce pod oknem zaczęto sykać.

— Proszę tam milczeć. Ja się sykać nie ulękę — zawołał rozgniewany magnat. — Panie prezydujący, wzywam pana, abyś przywrócił porządek.

Buta starego magnata wywołała hałas, szmer, zgiełk. Zpod okna protestowano energicznie. Gromadce pomagał Gryzio i kilku innych z młodziej i biedniejszej szlachty.

Pułkownik dzwonił gwałtownie, wołając głośno:

— Proszę się uciszyć, bo inaczej zerwę posiedzenie.

— Zdrada, zdrada — wołano zpod okna. — Oszukali nas.

Hrabiemu z oburzenia buchnęła krew do głowy. Czerwony, patrzył wyzywająco roziskrzonym wzrokiem.

— Kto sobie życzy mieć głos? — zawołał pułkownik, zagłuszając wszystkich. Zrobiło się cicho, zgromadzeni szukali wzrokiem tego, kto chce mówić.

— Przepraszam, jeszcze nie skończyłem — odezwał się magnat wyniosłe. — W osobie mego kandydata, spersonifikowały się właśnie te cnoty, które są nam dziś potrzebne, bo praca, oszczędność i wytrwałość.

— Wyborne są to cnoty dla napchania własnej kieszeni, lecz nie dla służby krajowej — odezwał się spokojnie Radwan. — I jeżeli nic więcej pan hrabia niema do powiedzenia o swym kandydacie, to zamało. — Śmiech powstał w sali.

Magnat ignorował głos jakiegoś tam szlachetki i demokracji, a udając, że nie słyszy, zakończył podniesionym głosem:

— Tego wam, szanowni panowie, kandydata polecam.

Partya Stańczyków zaczęła klaskać zawzięcie i cisnąć się z czołobitnością do hrabiego, — gromadka Radwana jęła śmiać się i sykać. Pan Jan, nastrożony brwi, patrzył chmurno. Magnat polecał go li tylko jako dorobkiewicza. Myśl tę pochwycił Radwan i zadał mu cios wobec szlachty, a przede wszystkim wobec samego magnata.

Korzystając z ogólnego gwaru i zamieszania, Gryzio przecisnął się do pułkownika i zawołał przyciszonym głosem:

— Na pułkownika kolej, inaczej zbłąznimy się.

Pułkownik miał właśnie ochotę zapomnieć o swej kolei wobec magnata, dla którego czuł wielki respekt i z powodu niepopularności kandydatury. Spojrzał ostro i wyniosłe na Gryzia, gdy w tej chwili zbliżył się do niego Raciborski.

— No, pułkowniku, zaczynaj, ja swoje zrobiłem.

— Zaczynaj, zaczynaj — poparli Raciborskiego najbliżsi z otoczenia.

Nie było rady; pułkownik, zły na siebie, że się tak nieogłędnie dał złapać, zadzwonił gwałtownie.

— Ponieważ należy w kraju wyrabiać nowe, młode siły — ja z towarzyszącymi stawiam kandydaturę — spojrzał w stronę okna — pana Radwana.

— Karola Radwana — poprawił go Gryzio.

— Karola Radwana — powtórzył szorstko i gniewnie, opuszczając prezydalne miejsce.

Pierwszy Gryzio zaczął klaskać, a za nim dopiero oprzytomniała gromadka zpod okna i żarliwi przyjaciele marszałka.

— My zaś stoimy przy swoim — odezwał się, nie wstając, magnat, — i żądamy głosowania.

— Głosowanie, głosowanie — wołano zewsząd. Panie prezydujący, na swoje miejsce.

Karol patrzył zdziwiony na otoczenie. Nie przeczuwał tej kombinacji, zrazu nie domyślał się gry i nie odpowiadał na życzenia.

Gryzio przysunął się do niego.

— Ruszajcież się — zawołał.

— Wiedzieliście, że mamy ze Stańczykami większość? — spytał go Radwan.

— Naturalnie, inaczej byłby tu z nami marszałek. Patrzcie, Stańczyki pracują, ale i ja coś znacze — rzucił się między swoich.

Hrabia powstał i zmieszał się ze szlachtą. Jednych witał serdecznie, drugim prawił grzeczności, trzecich brał poufale pod rękę, chodząc z nimi po sali, rozmawiał głośno, dowcipkował, kończąc każdą pogawędkę poparciem pana Jana.

— Przecież nie pozwolicie, aby nas w Krakowie reprezentował jakiś radykał, demokrata, źle wychowany czerwieniec. Żał mi pułkownika, który się dał tak haniebnie złapać. Forytować rewolucyę, a może i komunę dla partyjnych uprzedzeń, to osobliwe. Nieprawdaz?

— Spieszmy się — szepnął Gryzio do swych bliższych, bo gdy hrabia przejdzie po kolei ze wszystkimi pod ramię — przepadniemy. Mnie samego, gdyby tak powłóczył parę razy po sali, zmieknęlbym niezawodnie.

Rozśmiano się wesoło. Hrabia zrozumiał i odczuł znaczenie wesołości. Z naiwną miną, a szkiełkiem przy oku, zbliżył się do Gryzia i jego towarzyszy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, d. 1 Marca 1889 r.

Polityczny wertep. — Nowe ministerium. — Prognoza. — Boulanger i jego sprawa. — Posiedzenie Akademii. — Przyjęcie Claretie'go. — Fiziognomia zgromadzenia — Przemówienie p. Renana. — Niespodzianka. — Gniew republikanów. — *Margabina*, nowa komedia Wiktoryna Sardou. — *Życie i śmierć X. Darboya*, przez X. Foulon'a, arcybiskupa luduńskiego. — Jeszcze w Panteonie. Inauguracja posągu J. J. Rousseau.

Auribus teneo lupum! Mamy nowy gabinet ministrów... który z kolei? — straciliśmy rachunek. Czemu radykalni z p. Floquetem na czele uderzyli do odwrotu? — to jeszcze nierozwiązana kwestya.

Było tam coś czego nie docieczono jeszcze, chociaż, dobrze niby informowani powiadają, że przedwczesne zwierzenie się Floquet'a p. Leonowi Rénault, co do zdjęcia banicy z księcia d'Aumale'a, było powodem podejrzeń jakichś niby tendencji do restauracyi monarchicznej, wobec coraz wzrastającej powodzi bulangerskiej, grożącej nieuniknionym potopem. Czy tak jest? trudno odgadnąć, tymczasem, — jak mówiłem — mamy nowe ministerium!

Nowe, jak nowe... ale przenicowane, to pewna. P. Tirard, nowy prezes gabinetu i prawie wszyscy jego koledzy, są to — jak ich nazywa Rochefort, *des Cheveaux de retour*. Czy się utrzymają długo na tym końcu od igły, jakim jest większość w izbie, tak zmaczonej do gruntu, jak nią jest Francuzka Izba deputowanych, to nam da poznać bliska przyszłość. Tymczasem gabinet Tirarda rozpoczął swe życie, rozpędzając manifestacyę anarchiczną, która pod nazwą delegacyi *Uwryerskiej* gotowała się wyprawić maleńką demonstracyę w rocznicę 24 Lutego (1848 r.)

Jest to, bez zaprzeczenia, zuchwałe wystąpienie. Gabinet, nie idąc w ślady poprzedników swoich, wziął czapkę na bakier — Mosanie — ale czy mu jej nie zbiją tylko? W tem sek! Wszak ci panowie byli już u *steru rządu* (znana formułka z przeszłości) — i także, przechodząc ongi z kompromissu do kompromissu, wyszli aż za drzwi. Czy w czasie wolnym od pracy nabrali rozumu i tęgości? — oto zapytanie. Jedni powiadają, że tak — drudzy, że nie — a wasz korespondent radzi czekać.

Słowem: paryżkie wybory z 27-go przeszłego Stycznia, wynosząc Boulanger'a na sam wierzchołek wieży Eifel'a, wywróciły równowagę gabinetu Floqueta. Zobaczymy, czy to usposobienie krnąbrnych Paryżanów udzieli się reszcie Francyi, i czy — jak tu jest modą naśladować ślepo Paryż we wszystkim — będzie to miało miejsce co do przyjęcia ex-generała za człowieka zesłanego przez Opatrzność dla wyratowania Francyi? Ex-generał tymczasem, niepospolitując się zbyt, — jak to czynił w początkach — robi porządek wśród swego otoczenia, którego liczba coraz-to wzrasta; posyła swych podkomendnych na pierwszy ogień,

a sam nie schodzi z ogólnie dozwolonej mu drogi. Jest to dowód, że mu nie braknie przynajmniej tego węchu bezpieczeństwa, tak niezbędnego na politycznych bezdrożach.

Czekajmy więc, z tem przekonaniem, że ludzie z którymi mamy do czynienia — ludzie o bujnych wyobraźniach — nie dadzą nam długo nudzić się za drzwiami, i że wkrótce zobaczymy, co tam się dzieje wewnątrz. Daj Boże! tylko, aby, nie nam, ale im, nie przyszło żałować pośpiechu!

Nie mamy potrzeby szukać daleko dowodów na to, jak tu o niespodziankę łatwo. Oto przychodzi, jak wraz, pod pióro waszego kronikarza posiedzenie Instytutu Francuzkiego z dnia 21 z. m., na którym odbyło się solenne i publiczne przyjęcie przez Akademię Francuzką nowego członka, p. Claretie. Przyjmującym, to jest urzędowym oratorem, był p. Renan. Spotkanie się więc dwóch pisarzy takiej wziętości, jak przyjmujący i przyjmowany, — sprowadziło tłum ludzi ciekawych tak niesłychany, że połowa uprzywilejowanych nawet słuchaczy, zaopatrzonych w bilety — musiała zostać za drzwiami.

Płec piękna — jak wezbrana tuż obok Sekwana w tej chwili — była w całej swej pełni. Ponieważ przyjmowany p. Claretie jest dyrektorem Teatru francuzkiego, cały więc zastęp aktorek — a wie o tem świat cały, jak wielkim jest ten zastęp — zajął najpierwsze miejsca tak zwanego *hemicyklu*, pod kopułą instytutu. Sala była pełna, jak jajko; sama nawet chuda i wiotka Sara Bernhardt nie znalazłaby w niej miejsca dla siebie.

Ale nie chodzi mi wcale o pokazywanie wam, jak pełną była ta sala. Chciałbym wam tylko opisać tę niespodziankę, o której mówiłem wyżej.

Renan, autor tylu znanych i rozgłoszonych dzieł naukowych i nienaukowych, jeden z głównych stylistów francuzkich, przyjmujący w imię Akademii Francuzkiej Claretie'go, gładkiego i błyskotliwego powieściopisarza — czego się można było spodziewać? Oto świetnej gonitwy na ostrze pióra... wymownej pochwały nieboszczyka, którego krzesło zajmował nowy akademik, i nowego kolegi — może pewnej, krytycznej alluzyi zaprawnej solą attycką dowcipu; może jakiegoś lekkiego ukłócia, jak szpilka, wyrażeniem pełnym humoru i swobody koleżeńskiej. I oto wszystko! Ale spodziewać się czegoś więcej na tem turnieju słowa, było tak dalekie od myśli każdego Paryżanina, jak od ziemi do nieba!

Otóż stało się inaczej: p. Renan, który zresztą dość często w swych przemówieniach zwykł się puszczać na manowce dalekie od zwykłej ubitej drogi powszednich mówców, tym razem wkroczył śmiało na pole polityki, i jakże piękniej polityki! i jak powiadają Francuzi, nie jedną, ale obie nogi włożył w ten gorący pólmisek — nie dbając co o tem ludzie pomyślą!

Ale, abyście to zrozumieć mogli, trzeba przytoczyć słowa samego mówcy. Nie lękajcie się: wezmę sam miodek, reszty domyślicie się sami. Przypomniawszy nowemu kolledze, jak, temu lat trzydzieści, spotkali się, idąc pod jedną i tą samą chorągwią, Renan przebiegł szybko literacką zasługę nowego kolegi i zatrzymał się nagle na jego *Kamillu Desmoulins*.

„Kamill Desmoulins pana — mówił — i jego współnicy skazani na śmierć w miesiącu Prerialu — wspaniałe miłujesz widocznie; roznamiętniasz się, mówiąc o każdym z tych ludzi. I ja ich kocham, idąc za przykładem wspaniały; lubię ich widzieć z tym wzrokiem smętnym, z długimi włosami, co im nadaje postać apostołów; lubię ich za ich ognistą wiarę przekonania, za ich słowo, zarazem deklamatorskie i tkiwe. Jest może przecież maleńka pomiędzy nami różnica. Zgadza się zupełnie w tem, że postęp świata dokonywa się przez popędy wychodzące od fanatyków i gwałtowników. Tylko wspaniały protestujesz, gdy im ścinają głowy... Przecież, z tem wszystkim, oni tego chcieli... Dzieło fanatyków nie może się udać inaczej, tylko pod tym warunkiem, aby fanatyków samych pozbyć się natychmiast. Zawód fanatyka powinien być krótkim. Przedstawmy tylko sobie Kamilla Desmoulins i jego Lucyllę, umierających dopiero spokojnie w 1840 — 1845 roku: byłoby to tak wstępne, jak wyobrazić sobie Joannę d'Arc, dożywając siedmdziesięciu lat wieku.”

„Rewolucya, uważana pod względem zewnętrznym swego charakteru, olbrzymiego i fatalnego, jest nienawistną i okropną. Nazewnątrz jest to niesłychana rozpusta. Ludzie w tej dziwnej walce mają wartość stosowną do swej brzydoty. Wszystko tam daje się zużytkować, oprócz zdrowego rozumu i wnioskowania. Waryaci, niezdolni do niczego, zbóje, pociągani są instynktowym poczućiem, że przyszedł czas, kiedy i oni mogą być użytecznymi. Powodzenie czasów rewolucyjnych jakgdyby domagało się współpracownictwa wszelkich zbrodni i wszelkich niedorzeczności. Nędznik umiejący jedynie mordować jest w swoim żywiole. Nierządnicą i obłąkaną ze szpitala de la Salpetrière, mają w niej swoją rolę. Czas owe potrzebowały wartogłów i zbrodniarzy — i znalazły ich do syta. Zdawało się, że stoimy nad otworem studni, nad przepaścią, tak wszystkie wyzwy piekielne tego wieku zepsucia zaciemniały niebo.”

A dalej o ludziach owych czasów powiedział Renan:

„Ci pracownicy olbrzymiego trudu, rozważani w swej własnej istocie, są karłami. Dzieło tylko było wielkie samo przez się i pochwycający ich, nadało im wielkość; sytuacja porywała ich, rzucała w gorączkę, przeobrażała stosownie do potrzeby; a gdy przeszło przesilenie, odnajdywali się napowrót takimi, jakimi byli przedtem, to jest ludźmi miernymi. Straszliwa ważność wypadków tworzyła ludzi z geniuszem na przeciąg roku jednego, na trzy miesiące, na dni kilka... Potem, opuszczeni przez ducha, który ich chwilowo utrzymywał na pewnej wysokości, ci bohaterowie dnia jednego padali bezsilni, zaleknieni, obłąkani, przerażeni, i niezdolni rozpocząć życia nanowo. Napoleon miał słusność, robiąc z nich koncypistów i urzędników sekretaryatu.”

Mówiąc o literaturze tej epoki, p. Renan utrzymuje stanowczo, że jej niema wcale: „źle pisali — powiada — i stylem pretensjonalnym, nieznosnym. Gdyby chciano wydać zbiór zupełny ich pism, znalazłoby tylko nicość i nicość.”

„Byli to ludzie obdarzeni najwyższą niewiedomością tego, co czynili. Jedno, co ich uniewinnia — to młodość, niedoświadczenie i wiara; z wyjątkiem kilku zaledwie ilustracyi owego czasu, nie ustalili oni wcale swego rodzaju. Ludzie kryją się dziś z nimi, jako z przodkami; nikt się nie przyznaje do nich. Nie łatwo jest przyznać się do ojców, którzy nie mogą być przykładem dla nikogo... Nie lubię szczególnie, aby im wznoszono posągi... Co to za błąd, co za dowód złego smaku! Raz jeszcze powiadam: ci ludzie nie byli to wielcy ludzie, nie! Byli to robotnicy wielkiego dzieła i wielkiej godziny ludzkości. Nie należy wcale za wzór ich podawać. Ci, którzy chcieliby ich naśladować, staliby się zbrodniarzami. Lubimy ich, z warunkiem, aby byli ostatnimi już uczniami ze swej szkoły. Powiodło im się, wskutek jakby niesłychanego zakładu i przeciw wszelkiemu podobieństwu do prawdy. Tam, gdzie oni znaleźli chwałę, ich spóźnieni uczniowie zbiorą tylko ruinę, pustkę i przekleństwo.”

Zbliżający się jubileusz stulecia znalazł swoje ocenę w następnych słowach Renana: „Stulecia nie są nieczyją winą: któż może przeszkodzić wiekom, mieć sto lat? Bardzo to przykro przecież, nie niestosowniejszego, nad wytwarzanie porównań współmierności pomiędzy teraźniejszością a przeszłością, kiedy ta przeszłość zwłaszcza jest wyjątkową. Jubileusze wymagają natychmiast apoteozy. To już zanadto, wygłoszenie panegiryku zdaje się dostatecznem. Zabalsamowanie, w którymby zmarły odpoczywał, uwinęty w pieluszki, aby nie powstał już więcej, podobna mi się jest niezdolnością. Starajmy się przynajmniej unikać wszystkiego, co by musiało dać do myślenia, że mogłyby znowu się rozpocząć podobne postępy nierozważnej młodości.”

„Jest to chwała dla narodu, który w swojej historii może wskazać takie nadzwyczajne zjawiska, niepowtarzające się w dziejach: Joanna d'Arc, Ludwik XIV, Rewolucya, Napoleon, ale jest to również niebezpieczeństwem dla tego narodu. W naturze tych zjawisk leży to, aby były same przez się jedynymi. Są one wspaniałe, pod warunkiem

aby się nie odnawiały więcej. Rewolucja powinna pozostać, jak mawiali Starożytni, napadem świętej choroby. Gorączka może być użyteczną, kiedy jest symptomatem wewnętrznej pracy; ale nie powinna trwać ciągle, ani się wznowiać, w takim razie albowiem jest to śmierć! Rewolucja jest potępioną ostatecznie, jeśli można jej dowiedzieć, że po upływie stu lat musi jeszcze rozpoczynać dzieło, które już właśnie przez nią miało być spełnionem: szukać swej drogi i walczyć ciągle ze sprzysiężeniem i anarchią."

"A czy ci wielcy zapaleńcy ugruntowali cośkolwiek?"—"Nie wiemy dotąd jeszcze—odpowiada p. Renan. Myślę, że za lat kilka dowiemy się o tem, jeśli za lat dziesięć lub dwadzieścia Francja będzie w pomyślności i wolna—wierna prawości, otoczona współczuciem liberalnych części świata... A wówczas sprawa Rewolucji będzie ocaloną, świat ją polubi i zakosztuje jej owoców, niezasmakowawszy ich goryczy. Lecz jeśli za lat dziesięć, lub dwadzieścia Francja będzie jeszcze ciągle w stanie przełomu, zniszczona nazewnątrż, oddana wewnątrz groźbom sektarzy i zamachom popularności, o, wówczas potrzeba będzie powiedzieć sobie, że nasze artystyczne uniesienie popchnęło nas do politycznego błędu, i że ci zuchwali nowatorowie, dla których mieliśmy tyle pobłażania, całkiem zblądźdźdźdź! W takim razie Rewolucja zostanie zwyciężoną, więcej, niż na wiek cały. Na wojnie, wódz ciągle bity, nie może być wielkim wodzem; w polityce zasada, która w ciągu stu lat wycieńcza naród, nie dając mu nic wzamian, nie może być zasadą prawdy."

Pierwszy to może raz od stu lat, taki głos powstał w tym narodzie—i to z mównicy publicznej, i wygłoszony przez człowieka, którego zasady liberalne nie mogą być podejrzanym republikanem tutejszym. To też republikanie mocno się gniewają na Renana o tę niespodziankę—i mają słuszną. Jak to? on? on, Renan? śmiało im rzucić w twarz tę wiązaną prawd swoich, i to w takiej chwili?

Do tych kilku niespodzianych ustępów polityczno-filozoficznych z mowy p. Renana dodać należy jeszcze to, co myśliciel ten wypowiedział o szkole *naturalistów*... „Autorowie dzisiejsi myśleli, że pozostaną zawsze młodymi; nie kłopotują się wcale o to, by przygotować sobie starość literacką; a głównie zapominają o tem, że ludzkość jest to osoba szlachetna i że w jej szlachetności jedynie godzi się ją przedstawiać. Idąc w ich ślady, zabawiano się tym światkiem oszustów, nieponiów zepsucia, takich Vautrinów i Quinólów. Dano się pociągnąć fałszywym smakiem do uwielbiania tego, co brzydkie i obmierzłe, chciano zrobić potrawę z tego, co mogło zaledwie służyć za przyprawę. Małowidło przedstawiające gnój i śmiecie może się usprawiedliwić jeszcze, byleby na niem wyrosły kwiaty; bez tego śmietnik jest rzeczą brudną i wstrętną... Rzeczywistość, realizm, spotykają się, niestety! na każdym kroku. Niema potrzeby ich dokumentować, znamy je aż nadto dobrze!"

(Dokończenie nastąpi.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Faust, tragedia Goethego, przełożył Ludwik Jenike; wydanie 1-e w *Ateneum* z r. 1887 i w osobnym odbiciu, wydanie drugie: Warszawa, nakład Teodora Paprockiego i Sp 1889, druk Emila Skińskiego (str. 244, 12-o). Porównanie nowego przekładu z dawniejszemi: Krajewskiego i Jezierskiego. **Wybór poezji lirycznych Szyllera** w przekładzie polskim przez A. A. K., odbicie z *Biblioteki Warszawskiej*, Warszawa, w drukarni W. Ratyńskiego (dawniej J. Bergera), str. 53, 8-o.

(Dalszy ciąg.)

Przepadła tu cała głębia myśli getowskich; zato Mefistofeles, sięgający po Fausta, jak po swą

zdobycz już pewną, wyraża się wcale silnie; szkoda tylko, że w wierszu ostatnim „zu Grunde gehen“ znowu rozwodnione (str. 95). W radach dyabła dawanych studentowi p. Krajewski wierniej dochował myśli, p. Jenike zaś formę oryginału. Mefistofeles nie nakazuje studentowi tłumić marzeń—tryb rozkazujący „stlum“, potrzebnym był tylko do *logicum*. Co innego zupełnie mówi dyabeł poniemiecku, a co innego popolsku, gdy wiersz oryginału: „Aus einem Punkte zu curiren (ist)“ w przekładzie brzmieć musi: „Uśmierzyć może twój lekarski fach“—Właśnie, nie lekarski, ale całkiem inny, do którego studyowanie medycyny jest niepotrzebnem. Axiomat: „*Grau... ist alle Theorie Und grün des Lebens goldner Baum*“ wymagałby większego artyzmu w wysłowieniu polskiem (str. 102).

W Piwnicy Auerbacha Frosch p. Jezierskiego karcii kolegów swych za „kwaśne miny“, u p. Jenikego—za „minę Izawa“—u samego zaś Goethego za „Gesichter“. Wszyscy trzej tłumacze „Blocksberg“ nazywają „Łysą Górą“ lub „Łysicą“. Brander—nie wiadomo dla jakich względów—pokaleczony (str. 106/7), a piosnka Froscha—sztywna. W dalszym śpiewie Brandera wiersz „Z doktora Lutra biorąc wzór“ stoi w złym związku składniowym (str. 108). Siebel'a wykrzyk: „*Ein pfi/figer Patron*“ oddany przez „Ptaszek to noszony!“ Satyra dworska, włożona w usta Mefistofelesa, z wyjątkiem dwóch ostatnich wierszy, lepsza w nowym przekładzie, niż w dawniejszych; wyjątek dotyczy tłumaczenia Z. Z. Pomimo tych ciemnych punktów, „Piwnica“ ogółem wzięta zadawalnia; p. Jenike prześcignął tu dawniejszych tłumaczy.

Nareszcie rozpoczyna się tragedia. Skromnego czterowiersza przy spotkaniu, wspaniałego swą prostotą,—nie umiano jeszcze dotychczas przetłumaczyć. Nastrój uczuć oddał Gounod i nigdy może muzyka lepiej i szczerzej nie dopomogła poezji. Faust p. Jenikego ma zbyt dobre o ramieniu swoim mniemanie, gdy je „rycerskiem“ nazywa; ale Małgosia dobrze mu odpowiada:

Nie jestem piękna ani dama
A do mieszkania zajdę sama.

Następujący potem zachwyt Fausta wiele stracił w przekładzie. (str. 135).

Małgosia wraca z kościoła, krząta się, sprząta, gospodaruje, ale już ją oczy Fausta przykuły do niego. Wieczór nastaje: myśl zwraca się do spotkanego zuchwalca. P. Krajewski tak jej mówi: każe podczas zaplatania warkoczy:

Ciekawa jestem: kto to był ten młody,
Co mi zastąpił drogę dzisiaj zrana?
Niema co mówić, że pięknej urody
I ze wszystkiego wyglądał na pana...
To mu wyraźnie i z oczu patrzyło.

Ostatni wiersz lepszy jest u p. Jenikego:

A zresztą... niebyłby tak śmiały.

Chyba tylko dla „gniazda“ nowy tłumacz dorzucił od siebie Goethemu: „Przemigł mi, jak świetna gwiazda“—najzupełniej niewłaściwe w ustach Małgosi i szorstko odskakujące od naiwnego wdzięku prostoty, jaką tchnie dziewczę na pastwę natury i obyczajów społecznego skazane. Zato udał się monolog Fausta w pokoiku Małgosi (str. 140/1). Z powodu obszerności nadmiernej, nie możemy go tu przytaczać. Nie jest to przecież arcydzieło tłumaczenia; czterowiersz oddający ustęp od „*Hier lag das Kind...*“ do „*Entwirkte sich das Götterbild*“ obudza żal za oryginałem.

Śpiewka o królu Thule w drugiej zwrotce ma w wierszu rymującym z „nie mógł“: „Gdy z niego pić się przemógł“. Przemagać się nie potrzebował, bo chętnie pił i nikt go nie zmuszał; jedynie tylko łyzy kręciły mu się w oczach, gdy mu roztruchan przypomniął utraconą kochankę. Goethe mówi prosto: „*So oft er trank daraus*.“ Usunięcie „zamku“ wprowadza „salę przodków“ w bezpośrednią łączność z „morzem“—czego pochwalić nie można. W dwóch ostatnich zwrotkach oba

przekłady wielce się do siebie zbliżają: przekład z r. 1857 ma:

Powstał biesiadnik stary
I toast na pożegnanie
Wychylił z drogiej czary;
Potem ją cisnął w otchłanie

I widział jak tonęła,
Jak w fali się zanurzyła;
Śmierć oczy mu zamknęła:
Ostatnia to uczta była.

a przekład z roku 1887/8:

On wstał—biesiadnik stary,
I wnet na pożegnanie
Wychylił wino z czary
I rzucił ją w otchłanie

I widział jak tonęła,
I tęskny wzrok w nią wlepił;
Śmierć oczy mu zamknęła:
Już kropki odtąd nie pił.

Wiersza podkreślonego niema wcale w Goethym. Poetyczniej może wyraża ostatnią zwrotkę p. Jezierski (str. 103); ma też przewagę do kładności nad dwoma innymi tłumaczami, gdy mówi:

„Piękne dziecko“—spojrzą za niem,
Pochwałą z politowaniem;
Ale kto je zapamięta?
Złotem wszystko się oplaca,
Na złocie wszystko się obraca,
Wszystko!—biedne my dziewczęta!

Gdyby w miejsceniezdarne „Na złocie wszystko...“ wstawić: „(Wszystko złotem się oplaca), wkoło złota się obraca“, brzmiałoby to zakończenie wcale nie źle.

Tymczasem Małgosia p. Jenikego deklamuje (str. 144):

Co znaczy piękność, której nikt nie żąda (!)?
Pochwałą może, jak z litości.
Lecz każdy dziś do złota prawo rości,
A wdzięk i młodość małe to zalety;
Dziś wszystko znaczą pieniądze, stroje...

Na brak żądań Gretchen oryginału bynajmniej się nie skarży, a trzy ostatnie wiersze Małgosi przekładu są oryginalną poezią tłumacza—niema jej wcale w Goethym:

Was hilft euch Schönheit, junges Blut?
Das ist wohl alles schön und gut,
Allein man lässt's auch alles sein;
Man lobt euch halb mit Erbarmen.
Nach Golde drängt,
Am Golde hängt
Doch alles. Ach, wir Armen!

Mefistofelesowi *Na przechadzce*, braknie dwóch wierszy w trzecim przemówieniu do Fausta (*Die Kirche..... verdauen*). W rozmowie *Na ulicy* z rzetelną siłą woła zakochany (str. 159):

....Gdy w uczuciu tonę
I dla uczucia tego, w duchu jedni,
Naprawdę szukam nazwy odpowiedniej;
Gdy myślą mknę w daleką świata stronę,
I po najwyższe sięgam słowa;
I gdy dla żaru, którym płonie głowa,
Ten jeden tylko wyraz: *wieczny* mam—
Czy i to będzie także piekielny nieczny kłam?

W Scenie Ogrodowej, streszczającej w sobie cały żywy poemat miłości, przekład zadawalnia wymagania, a usterki są nieznaczne. Małgosia np. mogłaby sobie dobrać lepszy wyraz od „wyrachowana“ dla oddania „*accurat*“ (str. 163), niepotrzebnie też Faust dodaje „na uboczu“ (str. 166). Wogóle panuje w tej części przekładu rozwlekłość, co prawda, poprawna, ale wobec niej samej już o wyższych artystycznych zaletach mówić nie

można. Faust po wróżbie z listków różanych powinienby silniej przemawiać (str. 167/8), a szczególnie nie mówić tego, czego mu Goethe nie kazał. „Niebianko, coś w nieziemski powab strojna”. „(Uczucie), co wiecznie w sercach naszych gości”, wzbogacają oryginał ilościowo, ale odzierają go jakościowo. W *Altanie* zamiast „Ach, Schelm, so neckst du mich”, mamy „Chowasz się (necken!) psotnico mała!” P. Krajewski wprowadza tu „swawolnicę” Niewłaściwie Małgosia, całując Fausta, woła: „Nikogom w świecie tak nie ukochała!” W pierwszym błysku szczęścia nie myśli się o tem, że jest jeszcze kto inny na świecie. Goethe wydobywa z piersi Małgosi okrzyk: „O mój najlepszy, kocham cię z całego serca.”

Dla przyzwoitości, która sama w sobie jest chwalebna, ale niezawsze despotycznie władać ma prawo, zastąpił p. Jenike „Thier” przez „Glupiec”. Taka zmiana wyrazu jest i żeślimaczeniem samego momentu psychologicznego. P. Krajewski używa tu „psa”, a p. Jezierski wśród wielu innych śmiałości, jakich dowiódł w swym przekładzie, ma i tu odwagę na wyraz: „Zwierz”. Po odejściu Fausta, Małgosia p. Jezierskiego (str. 119) prościej i potoczniej przemawia.

Las i jaskinia ukazują Fausta na rozdrożu. Gdyby jego wola ruszyła przeciwko huraganowi żądz, dziewczę mogłoby jeszcze być ocalone; ale od tego jest Mefistofeles, żeby jej z chaosu duszy wydobyć się nie dał. Potrzebaby tu mieć wyboryny przekład, aby nie zatęsknić do oryginału. Pierwszy monolog wogóle wszystkim się udał; dwa ostatnie wiersze p. Jenike tłómaczy dosłownie:

I tak się staczam z żądz do użycia,
A wśród użycia tęsknię znów do żądz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, Luty 1889 r.

(Spóźnione).

Kiedy, przygodnym kronikarzy obyczajem, kłaść mam poraz pierwszy nową datę na słane wam odgłosy z Poznania, oko i pióro jednocześnie zwracają się w upłyniony dwunastomiesięczny okres, aby go jednym, ogólniejszym objąć spojrzeniem. Nie wesoło to pogląd, wznawiający bodaj wyłącznie żałobne tylko wspomnienia—znikłych postaci, rozwianych nadziei, utraconych zagonów. Zmiany panowania niewiele nam się uczuć dały. Studniowe rządy szlachetnego Fryderyka III nie zdołały wstrząsnąć systematem nienawiści, który się zrosł z wewnętrzną polityką żelaznego kanclerza, a z tego przelotnego rozwidnienia nie odnieśliśmy innej korzyści, okrom jednodniowych odwiedzin poznańskich powodzian przez cesarzową Wiktorję, która, najpierw swe miłosierne kroki zwracając nad Wartę, zmanifestowała jawnie, iż dla wszystkich poddanych swego małżonka jednaki chce mieć względy i troskliwość. Piękne i jednomyślne powitanie dostojnej pani w Grodzie Przemysławowym stanowiło bodaj jedyny dzień świetlany w szarem paśmie ze wszech miar smutnego i ciężkiego roku. Straszne powodzie, idące w ślad długiej i śnieżnej zimy, odjęły wiosnie zwykłą jej krasę.

Spokojne wody naszej dzielnicy niebyswałe rozniosły spustoszenia, potęgując zabiegi czynnego miłosierdzia, którego roczniki urosły przez hojne ofiary i poświęcenia. Oczywiście, wiosenne klęski zaciężyły i nad całorocznym urodzajem. Chłodne i słotne lato, zaskoczona przez mrozy przedwczesne jesień, rychła i sroga zima, jednym słowem: wszystkie przeciwności razem wzięte dotkliwie

prześladowały naszych rolników. Nie dziw, iż kommissya kolonizacyjna rozszerzała swe zagony, wyzyskując materialne pognębienie chwili. W ciągu półtrzecia roku swego istnienia wykupiła ona już około siedmiu mil kwadratowych polskiej ziemi i krząta się dalej, aby powiększyć swe posiadłości i osadzić na nich, ile być może, najtwardszych Niemców z Frankonii lub Szwabii. Przemiana konfesyjno-etnograficzna naszych siół z różnych przyczyn jest już obecnie ułatwioną. Jeśli podruinowana szlachta wypuszcza z ręki większą własność, toć i kmieć piastowski, niegdyś wrosły w ojców zagon, coraz skłonniejszym się okazuje do odbiegania odziedziczonego łanu, a zniechęcony miejscowymi stosunkami, rad słuca wezwań krewnych i przyjaciół, opisujących amerykańską swobodę, tak pod względem kościelnym, jak i szkolnym. Statystyka wychodźstwa, poprostu, przerażające ujawnia zjawiska. Od dwudziestu lat emigracja w całych Niemczech przybiera groźne rozmiary. Nie jest to wpływ normalny nadliczbowej ludności. Wytworzone przez księcia Bismarcka stosunki ekonomiczno-polityczne pchają niezadowolonych za morze. Pokazuje się, że wychodźstwo w niektórych latach stanowiło półtora procent całej ludności, kiedy przyrost roczny nie przenosi dwóch procent. Ztąd ocenić można rozmiary ubytku i ponoszonej straty. Sama wymowa liczb piętnuje dzisiejszą wewnętrzną politykę. Najznacniejszy prąd emigracyjny uwiadcza się w prowincjach od pewnego czasu najgwałtowniej niemczonych, a więc: w księstwie Szleswiczko-Holsztyńskim i w dzielnicach polskich. Nie przywołując tu już statystyki wychodźstwa ze Szlezewu, przypomni, iż Poznańskie wraz z Prussami Zachodnimi utraciło w ostatnich latach dwie piąte z miliona ogólnej mieszkańców liczby, zaczęło co najmniej ubytek trzech kroć stu tysięcy dusz przypada na ludność polską. Rok 1881 głównie się zaznaczył nieprzerwanym prądem wychodźstwa. Pod tą ciemną datą do 50.000 ludzi opuściło niepowrotnie łan piastowski, aby szukać szczęścia za morzem. Następnie liczba corocznych wędrówek bez powrotu trochę się obniżyła, aby znów się wzmódrz w dwóch latach ostatnich. W roku 1887 z samego Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich wyszło około 25.000 osób, dla których nie było już miejsca na własnej ojczyźnie. Obca kolonizacya, oczywiście, niemają się przyczynia do zniechęcenia włościan naszych. Co gorsza, do agraryjnego przełomu zaczyna się u nas na dobre przyłączać kwestya braku robotnika, występująca groźnie na tle już i tak ciężkich i naprężonych stosunków. Wojskowość i wychodźstwo pochłaniają młode siły, do uprawy roli—zostają starzy i niedołągi; o parobka lub dziewczę coraz trudniej, a czeladź gospodarską nie łatwo dziś uzupełnić, i folwarczne mieszkania robotce w wielu już miejscowościach pustkami świecą.

Ale wszystkie te przygodne obecnej chwili trudności i niedostatki, mniej dotkliwe są od nadwątlenia duchowego, będącego następstwem doznanych zawodów i zwątpień. Zaraza ta i u nas na dobre szerzeć się zaczyna, ogarniając, niestety, młodsze pokolenie. Na szczęście, nie brak nam dotąd ludzi walczących z tym zgubnym prądem. Przeciwno pesymistom, pogrążającym się w bezczynność rozpaczliwej acz wygodnej filozofii, warto podnieść zasługi stróżów i krzepicieli ducha, których, mimo szczerb sprawionych przez śmiertelność lat ostatnich, spory zastęp dotąd nie zeszedł z wyłomu zagrożonej warowni.

Przypomnijmy, iż w minionym roku odbyły się ni mniej ni więcej tylko 133 wiece, że w połowie tego miesiąca nowy walny wiec zbierze się w Poznaniu, aby nadać kierunek promieniejącej na całą prowincyą działalności, że kółka rodzicielskie, czytelnie ludowe, prasa i osobiste zachody wielu, mówczą skrzętnością i zdrowym posiewem czuwać nie przestają nad chatami włościan naszych. Szkoda nam tylko zbyt rozstrzelonych sił w obecnej biedzie naszej. Oto z nowym rokiem pełno nowych też czasopism w dzielnicy naszej powstało, zamiast wzmocnić słabe podstawy istniejących już, a wlokących mizerny żywot, dzienników. Szóstka z kolei polityczna w Poznaniu gazeta od 1-go Stycznia wychodzić zaczęła, p. t.: *Gazety Poznańskie*. Wieloletni współpracownik

Kuryera, p. Ludwik Gayzler objął dyrekcją pisma, powstającego przeważnie dzięki ofiarności jednego z naszych przemysłowców, u którego roztropność i trafny zmysł polityczny idą w parze z gotową zawsze hojnością. Tu i owdzie prowincjonalne podnoszą się głosy; w zagrożonych chciwszem niemczeniem żyznych Kujawach, pojawił się *Głos Kujawski*, drukujący się w Inowrocławiu, dwa razy na tydzień. Wydział lekarski Towarzystwa Przyjaciół Nauk osobny posiada nareszcie organ, zatytułowany *Nowinami lekarskimi*. Pismo to rozpoczęło swe istnienie od przedrukowania testamentu Marcinkowskiego, jakby programem poświęcenia i szlachetnych zabiegów. Kierownicy nowego czasopisma mają zamiar potraćać o wszystkie postępy nauki i kwestye palące. Oczywiście, hypnotyzm i doświadczenia na tem polu nabyte osobne zajmują miejsce w łamach *Nowin lekarskich*. Jak słyszymy, organ ten najczynniejszego dziś wydziału uczonego towarzystwa, zamierza w imię higieny wypowiedzieć wojnę nadużywaniu gorących trunków. Dotychczas propagandę wstrzemięźliwości szerzyli niemal wyłącznie księża wśród ludu, ostrzegając chłopów przed złemi skutkami wódki i alkoholizmu. Obecnie, jak twierdzą kompetentni, lud nierównie mniej pije od klas wyższych i wykształceńszych. Jest-że to sposób zabicia w sobie „robaka” i szukania zapomnienia na zgryzoty obecne? Orzec trudno, dość, że nowe, a wyraźne, niebezpieczeństwo zagraża tak zwanej miejskiej inteligencji, podkopując zdrowie, gasząc zdolności, marnując daremnie i szkodliwie wiele grosza, a więcej jeszcze czasu.

W Styczniu Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk odbyło walne zebranie, celem odnowienia wyborów zarządu. Czcigodny prezes, August Cieszkowski, zagaił posiedzenie rzewnymi słowy, wspominając, że *templa serena litterarum* najwłaściwszymi są przytulakami serczgnębionych. Starożytnych życzeniem było *otium cum litteris*, naszym raczej: *Labor cum litteris*, a *labor* u nas—nietylko trudem, lecz i walką i cierpieniem. Druh serdeczny Zygmunta Krasińskiego następnie złożył swą godność prezesa, wymawiając się podeszłym wiekiem i zajęciami odrywającymi go od obowiązków z tym urzędem związanych. Ale daremnymi były jego zakłęcia. Jednomyślny głos zebranych zniewolił go do zajęcia ponownie naczelnego stanowiska, na którym imię jego i powaga naukowa świecą blaskiem spadającym na całą instytucyą wobec zagranicznych towarzystw. Następnie przystąpiono do wyboru vice-prezesa, w miejsce zmarłego Kazimierza Jarochońskiego. Zdawało się zrazu, iż powszechnie życzenie powoła do tej godności Dra Wicherkiewicza, najpierwszej u nas powagi wydziału lekarskiego. Tymczasem nieprzewidziane rozstrzelanie się głosów inaczej rozstrzygnęło, i zasłużony na polu archeologii mecenas Jazdzewski objął pełen odpowiedzialności urząd vice-prezesa, na którym faktycznie spoczywa bezpośredni ster Towarzystwa. Zresztą zarząd niezmieniony; na ogólne żądanie p.p. Łebski, Milewski i hr. Bensełstierna-Eugeströma pozostali na swych stanowiskach. Ten ostatni już za życia ś.p. Stanisława Koźmiana główną był i najczynniejszą sprężyną działalności towarzystwa, którego rozwój pomyślny w znacznej części odnieść wypada do zabiegów hr. Engeströma. Przywiązanie jego do umiłowanej instytucji nie przestaje być źródłem ciągłego a osobistego poświęcenia sił, czasu, stosunków i mienia.

Niefortunna spekulacya dyrekcji naszego teatru spaliła na panewce. Przedsiębiorca opery grającej latem w berlińskich zakładach Krolla, po kilkotygodniowej zawodnej próbie, zabrał manatki i ze stratą opuścił scenę poznańską. Interes się tedy nie udał, a przykre wrażenie zostało. Od czasów Stańczyka i królowej Bony nie brakło nigdy w Polsce doktorów na wszystkie możliwe choroby. Znalazł się też niejaki p. Koryzna, który postanowił doraźną napisać receptę, mającą od razu postawić na nogi utykającą od początku instytucyą. *Pamiętnik sceny polskiej* zawiera niejedną trafną uwagę i słuszny zarzut, wskazuje zasadniczą wadę powierzania dyrekcji ludziom nieznającym się na sztuce; czy jednak związek „przyjaciół sztuki” mógłby od razu złemu zaradzić

i na nowe tory pełnać sprawę poznańskiego teatru? Nie sądzimy.

(Dokończenie nastąpi).

JAN ROWLAND STANLEY.

(Dalszy ciąg).

Dziennikarstwo amerykańskie opiera się na podstawach zupełnie różnych od europejskiego. Wiadomości, które podaje, nie przychodzą mu tak łatwo, jak u nas przez pocztę i telegrafy, lecz trzeba mu je zbierać sobie po świecie i ztąd dostarczyć ich i reporter, ma tam znaczenie wcale inne, niż u nas. Dzienniki amerykańskie wydają na zgromadzenie wiadomości summy dla nas bajeczne, a reporterowie ich muszą być śmiałymi, przedsiębiorczymi ludźmi, wiecznie w drodze, z bronią nabitą przy sobie, bo trzeba im nieraz dostawać się poza ubite drogi cywilizacji, gdy chodzi o wieści z tego świata, napół jeszcze dzikiego, który się zwie terytoryami Stanów Zjednoczonych.

Wrze tam bój, można powiedzieć, nieustający, nie tylko człowieka białego z niewytępionymi jeszcze ostatecznie plemionami czerwonoskórych tubylców, ale cywilizacji z naturą surową—ze dziczaliami jej odpadkami: kolonizatorami ziem dalekich, którzy nie chcą wpuszczać do siebie tego, przed czym uciekli z miejsc rodzinnych: karbów prawa, kleszczów cywilizacji z jej podatkiem i poborcą, z więzami rozmaitemi, które potargali.

Stanley zwrócił się dlatego do dziennikarstwa, aby zostać reporterem takim i przesiadać się z wagonu do wagonu, a potem z fuzją na ramieniu przebywać lasy i prerie, w których trawie człowiek tak się tam kryć może, jak u nas suseł lub zając. Reporterzy amerykańscy ciągną zawsze za kolumną wojska; taką była pierwsza wyprawa Stanleya, gdy jako wysłaniec dwóch pism: *New-York Tribune* i *Missouri Democrat*, przyłączył się do armii generała Hancock, idącego na dwa pokolenia niepodległych jeszcze Indian: Cheyenne i Kiowas, które się wyrwały spod ujęcia ich przez Stany Zjednoczone. Bito się, a raczej tepiono biednego, rodzimego człowieka tej ziemi, który dostał ją od Boga i natury, a Stanley rozwinął w korespondencyach swoich taką werwę, taką dramatyczność stylu i malowniczość w opisach natury, że od razu stał się sławnym i przed powrotem jeszcze do Nowego-Yorku już naprzód redakcje pism wydierały go sobie, czyniąc mu w listach najświetniejsze propozycje. Lecz on, jak sokoł niedostatecznie okapturzony, zerwał się z berła i nie powracając wraz z wojskiem, jak inni reporterzy, przyjął sobie do usług jakiegoś miejscowego człowieka, zbił wraz z nim tratwę i puścił się tak samowtór z biegiem rzeki Plate aż do ujścia Missouri.

Gdy powrócił do Nowego-Yorku z pełnym mantelzakiem opisów podróży, kreślonych wieczorami przy ognisku koczowniczym, rozrywano go na wszystkie strony, aż nakoniec najpoczytniejsze i największej powagi używające pismo tamtejsze, dziennik *New York Herald*, przywiązał go do siebie stale i wyłączenie, z tytułem „podróżującego korespondenta”, z pensją 20.000 franków rocznie, obok zwrotu kosztów podróży.

Było to w 1867 r. Anglia przedsięwzięła wielką wyprawę do Abissynii, i on, który rządził się zawsze szybko we wszystkim decyzyą, uprzedził przybycie tam wojsk angielskich, usadowił się nad Morzem Czerwonym i posłał swemu dziennikowi najpierwszy w Europie i Ameryce opis wyprawowania Anglików, oraz organizacji transportowych karawan wojska. A było co pisać, bo Wielka Brytania wysiliła się przy tej wyprawie na niesłychane rzeczy. Jakgdyby naśladować punickie wojny Kartaginy, armia angielska wiodła za sobą stada sprowadzonych z Indii wiel-

blądów, dźwigających na garbatych grzbietach zapasy obozowe i ludzi, którzy nie mogli podołać tej drodze pieszo.—„Cud to zdaje ci się oglądać—pisze Stanley w korespondencji swojej—gdy widzisz te ogromne zwierzęta, zdające się żywymi wieżami, przebywające stępą góry, wąwozy, doliny, tak posłuszne woli człowieka, łagodne i spokojne—klekające dla przyjęcia ciężarów, jak gdyby to były jagniatka.”

Talent Stanleya kazał odczuwać czytelnikowi własne jego wrażenia wobec obrazów wojny, toczzonej wśród natury afrykańskiej, a wzięcie Magdali i dumna, mężko sobie zadana śmierć zwyciężonego negusa Abissynii, Teodora, przedstawiła pod jego piórem taką przejmującą tragedją, że ludzie rozchwytywali w tysiącach egzemplarzy odbijany numer gazety, która obok tego otrzymała wiadomość tak niesłychanie szybko, że miała ją pierwsi, niżeli angielski ministerjum wojny raport z pola bitwy. Stanley zaś, niezmęczony nigdy i niczem, coraz więcej rozmiłowany w swoim zawodzie, nie zdawał się zgola potrzebować odpoczynku. Przenosząc się, jak ptak wędrowny, z miejsca na miejsce, był w Madrycie w chwili usunięcia z tronu Izabelli II-ej, był w Suezie przy rozpoczęciu przekopania kanału, aż przyszła chwila, którą można nazwać stanowczą dla jego życia, bo zmieniającą jego kierunek—czyniąc go z reportera dziennikarskiego wielkim podróżnikiem.

W Październiku 1869 r. Stanley, przebywający w Madrycie, otrzymał wezwanie od redaktora *New-York Herald*a, Jakóba Gordona Bennett, już syna założyciela tej gazety, z żądaniem, aby zaraz przybył do niego do Paryża w celu umówienia się z nim o wyprawę ważną, dalszą i trudniejszą, niż wszystkie, dokonywane dotąd. Chodziło o odszukanie angielskiego podróżnika Livingstone'a, który puścił się w głąb Afryki, dla odkrycia źródeł Nilu i nagle przestał dawać o sobie wiadomości. Był to już człowiek nie młody. Ludzie zajmowali się żywo, tak naukowym celem wyprawy, jak i osobą odważnego podróżnika, który ją przedsięwziął; poczęto też niepokoić się o niego, i redakcja *New-York Herald*a postanowiła wziąć w ręce swoje tę sprawę, monopolizując na rzecz tego dziennika zajęcie, jakie budziła. Jak zaś rzeczy tam idą, można powiedzieć: błyskawicznie, dowodzi fakt, że Bennett, po wzięwszy tę myśl, puścił się dla niej do Europy, a wezwany do niego Stanley, otrzymawszy jednego dnia list, w którym było tylko:—Przybywaj... nazajutrz rano znalazł się w Paryżu, aby sprawę ułożyć.

Chodziło tu przecież o zapuszczenie się w głąb niebadanej jeszcze części ziemi, gdzie trzeba było przewidywać niebezpieczeństwa walki z klimatem i nieznanym człowiekiem czarnym, o którego naturze przypuszczać było trzeba, że jest dzikim i wojowniczym, jak to okazywało się po ludnościach pobrzeżnych, które znano. Zabierać było trzeba ze sobą zapasy wszelkich środków utrzymania życia, rozbijać wśród pustyń namiot odpoczynku: więc wyprawa taka była z konieczności i kosztowną wielce, a mogła nie odnieść zamierzonego skutku. Stanley był śmiałym i rzutkim, ale—jak pisał w listach swoich—zamiar ten, przedstawiony mu tak nagle, odurzył go. Przedstawił też Bennettowi, że nie może obliczyć wydatków, jakie mogą okazać się koniecznymi, ale to nie zdawało się nic ważyć na szali śmiałego przedsiębiorcy rzeczy nadzwyczajnych. Stanley też na tem, że Stanley może podpisać na koszt podróży wexli płatnych przez Bennetta na 25.000 franków, w końcu przecież Amerykanin tak się zapalił do myśli swojej, że nie wydało mu się za drogiem. — Wydać, ile chcesz, tylko odszukaj Livingstone'a!...—były jego słowa ostatnie.

Droga przecież nie została wytkniętą najprościej. Stanley był najpierw obecnym na inauguracji Kanału Suezkiego, popłynął w górę Nilu, śledząc kierunek drogi angielskiego podróżnika Bakera, zawrócił potem do Konstantynopola dla zbadania, jakim jest stosunek Kediwa z Sultaniem, aż nakoniec 1871 roku w Styczniu znalazł się w Zanzibarze, i to jest chwila, od której liczyć można bezpośredni już początek wyprawy. Tam dopiero mógł zorganizować karawanę swoją.

Żywność otrzymywać można w Afryce tylko na zamianę za przedmioty potrzebne dla krajowców—i zaopatrzyć się w nie dostatecznie, znaczy to samo, co w Europie mieć w kieszeni tyle pieniędzy, ile ich potrzeba na drogę. Tkaniny bawełniane barw świetnych, paciorki szklane, guziki i tym podobne przedmioty reprezentują tu złoto i srebro, bo są najbardziej pożądane przez krajowców, a chcąc utrzymać w podróży przez Afrykę wewnętrzną stu ludzi, należy mieć do wydania dziennie sześć *dotis*, to jest czterdzieści metrów różnowzorych tkanin bawełnianych, co na rok drogi przedstawia tego jednego towaru 2.190 *dotis*, wiezionych ze sobą obok innych przedmiotów zamiany—obok zapasów żywności, narzędzi kuchennych i gospodarczych, jak kotłów do gotowania, worków, lin, namiotów i kołder, broni, amunicji, apteki podróźnej.

A dalej trzeba zgromadzić całe stado osłów jucznych, wprawionych do podróży podobnej, mieć również uzdolnionych do dźwigania ciężaru ludzi i przewodników, dozorców. W Zanzibarze znajduje się mnóstwo ochotników do służby karawanowej, ale jest między nimi mnóstwo oszustów, awanturników, a nawet rabusiów. Sultan Zanzibaru przychodzi też z pomocą podróżnikom europejskim, używając im, naturalnie za dobrą zapłatą, pomocy urzędników swojej policji, jak też było i dla Stanleya. Dostał on na usługi swoje najstarszego dygnitarza miejscowej służby bezpieczeństwa, który towarzyszył Stanleyowi przy lustracji ochotników, chcących się zaciągnąć do jego karawany, co odbywał w sposób najszybciej rzecz załatwiający. Skoro poznał w kandydacie jakiegoś rzezimieszka, laska, którą miał w ręku, podnosiła się natychmiast w górę i spadała następnie na plecy oszusta, w takiej ilości razów, że ten brał nogi za pas i umykał co najprędzej.

Stanley wybrał przy jego pomocy murzyna, który towarzyszył wyprawie Speka. Ten ugodził mu osmnastu askarisów, czyli żołnierzy, mających stanowić siłę zbrojną wyprawy i za których uczciwość odpowiadał. Sześćdziesięciu tragarzy najejanych zostało do niesienia pak, skrzyń, namiotów i rozebranego na części statku, do żeglugi przez jeziora. Każdy z tragarzy miał zawarowany sobie ciężar mniejwięcej siedmiedziesięciu funtów, i tu trzeba było dobrać ludzi zdrowych, młodych i silnych, zwykle krajowców z pokolenia Unjamuezi, zamieszkujących krainę Tabora: lud moczny i śmiały, ale przytem niekarny, uparty i fantastyczny, z którym trzeba się obchodzić zrecznie, a wtedy ludzie ci zdolni są do zadziwiających czynów odwagi, wierności i nawet poświęcenia.

Razem w chwili wyruszenia wyprawy 21 Marca 1871 roku składała się ona ze 192 ludzi, a to 3 Europejczyków, 23 askarisów z Zanzibaru, 4 nadliczbowych do zastąpienia innych w razie wypadku choroby lub śmierci, łatwo przydarzyć się mogącej w podróży tego rodzaju; 4 naczelników czarnych i 158 *pagazis*, czyli tragarzy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

Dnia 9 Marca poświęconym i otwartym został bazar wyrobów kobiecych, mieszczący się przy ulicy Wierzbowej, w gmachu Hotelu Angielskiego, a będący sklepem spółki kobiecej firmowo-komandytowej, zawarłej przed rejentem Wydzgą, z kapitałem 2.289 rs. Spółniczek firmowych jest trzy: Olszewska Marya, Lewentalowa Hortensya, Zalewska Zofia. Spółniczkami komandytowymi, w liczbie 25, są: Barczowa Bronisława, Chojecka Marya, Ciaglińska Marya, Dicksteinowa Paulina, Diehlowa Alexandra, Ilnicka Marya, Iżycka Ma-

rya, Jasińska Marya, Kamińska, Szleziger Marya, Karłowiczowa Irena, Korycińska Marya, Lewicka Natalia, Marrenowa Walerya, Radlińska Janina, Reichmanowa Melania, Reinszmitowa Paulina, Rossawicka Wiktoria, Sakowiczowa Leokadya, Schillerowa Marya, Smolikowska Izabella, Szadkowska Wiktoria, Szlezigerówna Józefa, Trylska Eugenia, hr. Walewska Wincentowa, Wojciechowska Leokadya.

Celem spółki jest ułatwienie zbytu wyrobów pracy kobiecej, a zarazem podniesienie cen tej pracy; spółka bowiem zadawała się chce takim tylko procentem komissowym, aby robotnice mogły być za pracę swoją należycie wynagradzane. Nadmierne są nieraz w stosunku do zarobku robotnicy zyski pośredników, na co przecież niezamożna pracownica przystawać musi, bo ten zarobek—to kawałek chleba, którego codziennie usta jej potrzebują. Kupująca publiczność może też spełniać dzieło wielkiej dobroczynności, zwracając się w sprawunkach czynionych do „Bazaru wyrobów kobiecych“, gdzie ceny będą stałe i sumiennie oznaczone. Nie wydając nic więcej nad dobrą wolę, chcąc wspomóc to, co na wspomnienie zasługuje, dokonać można uczynku dobrego w najprawdziwszym słowa tego znaczeniu.

Otworzyć kobiecie drogę pracy właściwej, odpłacającej się przecież o tyle, aby nie było to ciągłym graniczeniem z nędzą; ułatwienie zbytu tej pracy, wykonywanej w rodzinie, w domu, jest najlepszym, najskuteczniejszym przeciwstawieniem się chęciom niepraktycznej, z pojęciami obyczajowości naszej niezgodnej i fałszywie nazwanej emancypacji. Nasza kobieta, Bogu dzięki, niewiele i chyba wyjątkowo tem grzeszy; aby przecież wspomóc ją w tem pocziwem jej staniu przy naszych rodzimych pojęciach kobiecości, przy naszych ideałach życiowych, trzeba jej dać pomoc i poparcie, co też było główną myślą spółki „Bazaru wyrobów kobiecych“. Publiczność może dać tej myśli, tym chęciom dobrym poparcie skuteczne i spełnić dobry uczynek bez żadnej ze strony swojej ofiary, ponieważ—powtarzamy—ceny wyrobów bazaru będą umiarkowane i obliczone tylko na zysk, jaki godziwie dla handlującego przypada.

Znajduje się tam bielizna kobieca i mężka, kravaty, galanteria z różnego rodzaju materiałów, obok robót najbardziej praktycznych, bo zwrócić się tu można nawet o nadrabianie pończoch. Jednym z pierwszych warunków spółki jest przyjmowanie od robotnic takich tylko wyrobów, które jako gatunek i wykończenie mogą być nazwane dobrami.

Poświęcenia zakładu dokonał X. Jaworski, przemawiając potem do zebranej publiczności o świętych obowiązkach miłości bliźniego, która jest najpierwszą podstawą każdego społeczeństwa.

— Podobnem w celu i skutkach przedsięwzięciem, działającym tylko na innym polu pracy, jest spółka ośmiu pań zamieszkujących Warszawę, związana z celem sprzedaży produktów wiejskich gospodarstwa kobiecego, nabywanych z pierwszej ręki. Każda ze spółniczek przystąpiła do spółki z kapitałem 1.000 rs.; sklep spółki ma się mieścić na Nowym Świecie.

— Zakład rękodzielniczy hr. Cecylii Zyberg Plater został zaliczony pomiędzy te nauczające zakłady użytku publicznego, które otrzymują w bieżącym roku zapomogę z funduszu miejskich. Ogólna liczba tych zapomóg jest 105.049 rs., wspomniany zakład otrzyma 500 rs.

— P. Ewelina S., właścicielka ziemska, porozumiała się ze spadkobiercami swemi, przeznaczając część mienia swego, około 20.000 rs., na przytułek dla sierot po rodzinach ziemian i oficyalistów pracujących w zawodzie gospodarstwa rolnego.

— P. Stefania Czyżewska z Tarnogóry złożyła na ręce *Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności* 150 rs., jako wieczysty fundusz dla Kasy Pożyczkowej, istniejącej przy temże Towarzystwie.

— Korrespondent *Tygodnia*, piszący z Brzezin, uskarża się na zniżenie poziomu towarzyskiego życia w tej miejscowości z powodu, że panie tamtejsze dawały mu niegdyś nastrój inny — lepszy, podnioslejszy. Zajmowano się wtedy z ich inicjatywy wśród zebranych gościnnych muzyką, śpiewem, deklamacją, gdy obecnie wzięły się one do kart, jak to niegdyś czynili tylko starsi panowie, i grają do późnej nocy, a są pomiędzy nimi i takie, które zasiadają do zielonego stolika od godziny 4-ej popołudniu. Dodając, że odbił się na nich tak niekorzystnie wpływ otoczenia, duch czasu (postęp został tu chyba przypadkiem przypożyczony), korrespondent zakończyła rzecz uwagą niemałego znaczenia, że na kobiecie ciąży ważne zadanie krzewienia szlachetnej towarzyskości, za pośrednictwem której może ona podtrzymywać zamięłowanie do literatury swojej, może budzić żywym słowem i przykładem ducha upadającego, zachęcać do pracy umysłowej.

— Zawód felczerski został u nas otwartym dla kobiety, z obowiązkiem przecież złożenia odpowiedniego egzaminu w warszawskiej szkole felczersów. Pole to być może do bardzo pożytecznej pracy po wsiach.

— Na zjeździe prawników i ekonomistów, mającym się odbyć w roku bieżącym we Lwowie, adwokat Małaczyński ze Lwowa mówić będzie: „O stanowisku kobiety w ustawodawstwie“. Zadeklarował to na liście rozpraw, jakie tam wygłaszane będą.

— Grono byłych uczennic s. p. Felicji Boberkiej, zawiązało we Lwowie komitet z celem uczczenia jej pamięci przez wmurowanie tablicy pamiątkowej w jednym z kościołów lwowskich, a następnie wydanie pewnej części jej wykładów szkolnych i odczytów publicznych. Z dochodu, który wydawnictwo to przynieść powinno, komitet zamierza utworzyć fundację jej imienia, od której procent byłby stale używanym na zakup książek, rozdawanych między młodzią i kobiety.

— P. Wielbuszewiczówna z Białegostoku, wykształcona niegdyś w Paryżu do zawodu lekarskiego, pozostała w tem mieście, pełniąc przy jednym ze szpitali tamtejszych urząd lekarza ordynującego. A jest ona obecnie jedyną kobietą zajmującą wśród paryżkiej służby zdrowia miejsce takie. Niedawno jeszcze pełniły podobne obowiązki dwie doktorki: Blanka Edwards i Marya Klempke, obecnie zamężne i niepraktykujące.

— W Rouen odbyła się wojskowa uroczystość ozdobienia medalem zasługi za męstwo wiwandierki 74 pułku piechoty, Joudioux. Towarzysząc przez trzydzieści lat pułkowi, w którym mąż jej służył, znajdowała się ona z nim na wszystkich polach bitew, przez ten czas stoczonych pod sztandarem Francji, składając tam zawsze dowody wysokiego męstwa i poświęcenia. Pod Solferino uratowała życie dwóch ludzi: oficera i szeregowca; pod Gravelotte i Saint-Privat, wśród najeźszych chwil okrutnych zapasów, zbierała rannych, unosząc ich poza pole bitwy, a potem pielęgnując ich ofiarnie i o własnych środkach, aż do wyczerpania wszystkich zasobów grosza, uzbieranego pracowicie i wśród największej oszczędności.

Obok niej ozdobione zostały podobnie medalem wojskowym dwie kobiety: wiwandierki również: Boyer, także za trzydzieści lat poświęconej służby przy 46 pułku liniowym, obecnie jeszcze zajęta przy szkole kadetów w Joinville le Pont, i Drouan, wiwandierka 59 pułku, przy którym służyła lat dwadzieścia cztery.

Pisma francuskie wymieniają jeszcze dziesięć, równie walecznych i równie przez kraj uczczonych kobiet, pełnych poświęcenia i niesplamionego nieczem honoru, pomiędzy którymi pierwszą, nagrodzoną tak zaszczytnie, była Magdalena Trimoran, Bretonka. Na polu bitwy pod Magenta uwijała się ona z bohaterską śmiałością, wśród kul podając znużonym wojownikom swego pułku koniak; gdy przecież baryłka jej wyczerpaną została, pochwyciła bagniet jednego z rannych i, stanawszy na jego miejscu, biła się dzielnie. M-me Rossini czyniła to samo pod Palestą i była drugą z rzędu, której medal wojskowy przyznano. M-me Perriera Cros była dwukrotnie ranną pod Palestą i Magenta, pełniąc swe obowiązki. M-me Bourget odbyła z wojskiem francuzkiem ośm kampanii. Joanna Bonnemare towarzyszyła swemu pułkowi i nawet biła się przez całą kampanię 1870 r. M-me Petitjean otrzymała medal „za czyny rycerskie“ na równinie d'Avron. M-me Philippe walczyła pod Montretout i Champigny. M-me Renom biła się pod Buzenval. M-me Marya Vielard pełniła służbę przez lat trzydzieści trzy i odbyła z wojskiem francuzkiem cztery kampanie. M-me Ludwika Beaulieu była nauczycielką; gdy wojna 1870 roku wybuchnęła, porzuciła te obowiązki, urządziła własny ambulans i tak dzielnie mężną okazywała się wśród ciężkich okoliczności i niebezpieczeństw, które ją otaczały, że generał de Circey odpiął sobie od piersi własny medal, aby go jej przesłać.

Nowe książki.

(Z katalogu nowych książek T. Paprockiego.)

Ciesielski T. d-r. Bartnictwo, czyli hodowla pszczół dla zysku, oparta na nauce i wielostronnem doświadczeniu. I. Przyroda pszczół. Lwów, 1888. rs. 2 kop. 50.

Gould Joanna. Gwiazda przewodnia, powieść dla dorastającej młodzieży, tłumaczyła z angielskiego Zofia Hartingh. Warszawa, 1889 r. rs. 1 kop. 20, w oprawie w tekturkę rs. 1 k. 35.

Gry i zabawy dla młodzieży wraz z opisem kar, odbywanych za fanty, wydanie drugie. Warszawa, 1889 r. w oprawie w tekturkę rs. 1 — w płótno angielskie rs. 1 k. 20.

Jeske August. Równianka. Zbiór opowiadań i powiastek (dla dzieci od lat 3 do 7). Z obrazkami kolorowanymi. Wydanie trzecie, przejrzane i powiększone. Warszawa, 1889 r. w oprawie w tekturkę kop. 90 bez rycin 75 k.

Przyborowski Walery. Lelum-Polelum, opowiadanie historyczne z X wieku, przez autora „Bitwy pod Raszynem“, z rycinami W. Łuski. Warszawa, 1889 r. w oprawie w tekturkę rs. 1 k. 20 w płótno angielskie rs. 1 k. 70.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 16-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

TREŚĆ: Dworzanin, przez Floryjana Łagowskiego. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Nowiny paryżkie. — Przegląd Piśmienniczy, przez St. Krzemińskiego. — Korrespondencya zagraniczna. — Jan Rowland Stanley. — Kronika działalności kobiecej. — Nowe książki z katalogu Paprockiego.

Dodatek obejmuje: Arkusz 16-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat. — 26 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 1 Марта 1889 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.